

Zdzisław Wardejn

Sygnatura notacji: **N0679**

Data urodzenia: **21.04.1940 r.**

Data nagrania: **03.02.2025 r.**

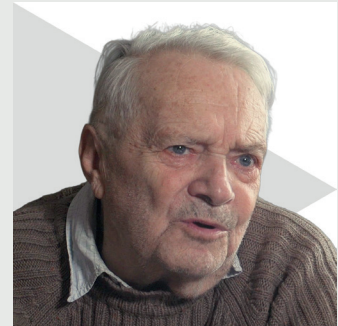
Miejsce nagrania: **Dom Świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **59 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zdzisław Wardejn: Nazywam się Zdzisław Wardejn. Jestem synem Anny Wardejn i Zdzisława Wardejna. Urodziłem się w roku 1940, i tak... Jestem pogrobowcem, ojciec mój zginął, jak Niemcy weszli 16 września, na Cytadeli, jak już zakładał, to znaczy był wezwany do zakładania nowej podziemnej organizacji, bo był tam oficerem rezerwy. Był adwokatem, to znaczy skończył prawo. Ojciec był z rodziny bankierów. Takie połączenie z matką, która była z rodziny szlacheckiej – Cygańskich. A dziadek był dyrektorem Banku Polskiego w Poznaniu. Jako pogrobowiec, matka musiała mnie wychowywać sama. W pewnym momencie musiała się czymś zająć i była zaopatrzeniowcem Armii Krajowej w lekarstwa. Moim zdaniem dla kobiety to było świetne życie. To znaczy świetne, bez męża, z małym dzieckiem, ale miała zezwolenie na spotkania z Niemcami, bo przecież od kogoś musiała te lekarstwa kupować. I ona w ten sposób dostarczała lekarstw, które były na rynku. Poniosła za to konsekwencje, to znaczy została zaaresztowana, ale w pewnym momencie ją wypuścili, bo z kolei ci Niemcy, co jej sprzedawali lekarstwa, pytali, czy ona coś zeznała. I matka nic nie zeznała. Więc Niemcy to jeszcze, był taki zachodni dryl, że jak nie zeznała, to znaczy niewinna. I wypuścili ją, tak że się udało. I dalej z tego mojego życia to pamiętam, tak naprawdę to pamiętam, jak miałem 4 latka. Wyjechaliśmy, bo z kolei siostra babci, siostra dziadka Roszkowska, miała pensję pań Popielska i Roszkowska. I oni mieli takie letnie szkoly. Jedna była w Nowinkach, druga była tam gdzieś koło Suwałk, Wigry. I mama się orientowała, że będzie powstanie, w związku z czym na wakacje wyjechaliśmy do Nowinek. I tam byli partyzanci. I wspomnienia moje z czasów wojny, co pamiętam, teraz nawet widziałem ten dom, zniszczony trochę w tych Nowinkach, bo matka paliła papierosy nałogowo. I wzięła strasznie dużą ilość na te 2 miesiące. Ponieważ byli tam partyzanci i nie mieli papierosów, a ja miałem mały karabinek, miałem 4 latka, oni mi pozwolili stać na warcie. Czyli ja, czasem żartując, mówię, że byłem partyzantem. Bo stałem z nimi na warcie, ale musiałem matce kraść te papie-

rosy. I to jeszcze mojemu synowi pokazywałem to okno, bo to te papierosy były na oknie, które nisko na parterze. I taki jeden z tych, co tam stali na tym patrolu, jeden z nich to był, tam jeden z nich, nie wiem który, przychodził, ja tam dawałem dwa, trzy i w nagrodę mogłem z nimi stać na warcie. Tak sobie załatwiali palenie i tam widziałem, co się dzieje. Tam moje zetknięcie z Niemcami było, że w pewnym momencie, jak się zbliżała Armia Radziecka, Niemcy postanowili oczyścić teren. Otoczyli te Nowinki i cały ten las. I przeczesywali go. Ci partyzanci, oni na koniach tam byli, matka świetnie jeździła konno jako panienska z dworku. I do matki mówili, że będą się przebijać na koniach przez te tyraliery, które okrążyły las i czyścili. I matka weźmie mnie przed siebie na konia i tym galopem przejedziemy. Matka się nie zdecydowała. Tu jest, można powiedzieć, takie moje pierwsze, co pamiętam, zetknięcie z Niemcami. Położyliśmy się w krzakach i był taki krzak. Matka położyła się na mnie, pierwsza kula na nią żeby była, a żebym ja wyżył może. A moja głowa była obok głowy matki. Ona leżała i widziałem tego Niemca. Do dzisiaj go pamiętam, jak szedł w tym hełmie z rozpylaczem. I przeszedł obok nas. I wtedy długi czas myślałem, że nas nie zauważył. Ale potem, jak poznałem z racji zawodu i tak dalej niektórych Niemców, to doszedłem do wniosku, że mógł to być taki żołnierz z zaciągu. Nie żaden tam jakiś gestapo czy coś. I ten żołnierz nas nie zauważył. Czyli mam dwie wersje. To znaczy udał, że nie widzi, bo pewnie zobaczył matkę z dzieckiem leżącą, to mówi: „Gdzie będę strzelał tam”, a ten hełm i ten automat, który trzymał, to pamiętam do dzisiaj. Takie to było moje zetknięcie z Niemcami. Potem przenieśliśmy się tam, bo one były spalone te Nowinki w ogóle tam i część ludności wybita, do Zalesia. Bo tam też rodzina się przeniosła w związku z powstaniem. W Zalesiu tam, to jest takie, co trochę pamiętam. Tam mieszkaliśmy tak długo, aż już wojna się skończyła. Potem z takich rzeczy to było, że matka musiała pracować gdzieś. W pewnym momencie zapisała się do PPS-u. Bo uznała, że to jest dobra przedwojenna partia. A nie PPR-u. I zabierała głosy. Jak były te wybory, to zabierała głosy PPR-owi. Jak się obie partie połączyły, to się okazało, że jednak taki pułkownik Mrozek matkę zaaresztował. Zaaresztowali, wzięli ją z ulicy. Ale w międzyczasie, tak zajęta tą propagandą, matka zapytała mnie, to był czerwiec: „Ile masz lat?”. A ja powiedziałem: „Siedem”. „Jezus Maria, zapomniałam posłać cię do szkoły”. Ale ponieważ była takim działaczem propagandy, więc na pozycji jakiejś, załatwiła, że mnie przyjęli w tej szkole. Potem mówiła: „Czy przeszedłeś do następnej klasy?”. A ja mówię: „Tak”, bo to z pierwszej w zasadzie nie zostawiali, a ja już wcześniej trochę tam umiałem pisać i czytać. Dalej w tym moim życiu to było tak, że zostałem sam, poszedłem do sąsiadów i oni znaleźli rodzinę moją, Darzwańskich, takiego dyrektora elektrowni czy tam w Gliwicach, na Ziemiach Odzyskanych. I oni tam mieli mieszkanie i ta rodzina mnie wzięła. A matka w więzieniu myślała, że z głodu umarłem. I na początku tam śmiała się i zaprzeczała, ale matkę nie torturowali, tylko prowadzali na egzekucję. A to mówili: „Waszych wieszamy”, a to byli Niemcy, co były te egzekucje powojenne. I matka w pewnym momencie, ale nie to, że na egzekucję, tylko że ja z głodu umarłem, nie wytrzymała i powiedziała: „Zawsze was nienawidziłam, mogę wam powiedzieć, co ułożyliśmy w powstaniu”, i takie recytowała zawsze na przyjęciach: „Czekamy na ciebie, czerwona zarazo, aż przyjdiesz...” i tak dalej. A koledzy matki zajęli jakieś tam stanowiska, jak się te obie partie połączyły. Już miał ten pułkownik Mrozek dowód, bo matka podpisała to zeznanie, że nienawidziła itd. I oni powiedzieli, że matka moja, przerazili się, że ich zamkną, bo oni ją bronili, co z towarzyszką Wardejną. A ten już miał dowód. Ten spokojnie posłał mamę do szpitala psychiatrycznego, żeby stwierdzili, że jest zdolna na umyśle, ale w szpitalu psychiatrycznym byli przedwojenni lekarze, jak kogoś z UB dawali, to już mówili, że jest chory, że trzeba go leczyć. I musiała tam rok, w tym szpitalu psychiatrycznym musieli ją leczyć, czyli musiała tam siedzieć. A w międzyczasie ja chodziłem w Gliwicach do drugiej klasy już i tam też było ciekawie, to znaczy mogę powiedzieć, że było takie dziecko szczęścia, bo tam były nauczycielki z Wilna, ze Lwowa i wzruszały się tak: „Pogrobowiec, matkę UB

zamknęło, musi się dobrze uczyć”. I miałem od góry do dołu bardzo dobre. Ze wszystkich, tam jeszcze taka siostra babci, jak kaligrafię, to ze mną siedziała, pamiętam, bo mi się nie chciało. I prowadziła moją rękę, bo jak prosiła nauczycielka, żeby była kaligrafia, czyli byłem bardzo dobrym uczniem, jeden z piękniejszych moich okresów. Ja tego nie pamiętam. Ale matkę po tym roku to już wypuścili ze szpitala. I pojechaliśmy, bo była po dziadku willa w Poznaniu, matka pojechała tam, ja tam też od tej rodziny z Gliwic przyjechałem. I tam zacząłem..., ucieszyli się w szkole: „Jaki to dobry uczeń przyszedł”, bo jak pokazałem świadectwo: „Ojej, jakiego dobrego ucznia...”. A ja się dopiero zacząłem dowiadywać, że są niedostateczne, dostateczne, co to się działo. Tak że tak to wyglądało w Poznaniu. Ale była bieda, była. Matka tam musiała pracować, ja tam chodziłem do tej szkoły, ale matka w pewnym momencie, to muszę powiedzieć, że zobaczyła, że wychowuje jedynaka, i wzięła takie jakieś nieślubne dziecko, jak miało, prosto ze szpitala, kobieta rodziła i nie chciała dziecka. I matka adoptowała. I to była moja siostra. Ja się musiałem z racji tej zajmować. Ja podejrzewam, że to był, nie wiem, czy przemyślany, czy taki biologiczny pomysł matki, ale żeby nie wychowywała jedynaka, którego tam kocha i rozpuscita. W związku z czym, jak ta Iza miała 5 dni, to dostaliśmy ją ze szpitala. Jak matka szła do pracy, ja musiałem ją karmić i tak przyzwyczałem do przypalonego mleka w proszku, że jak matka w niedzielę zrobiła dobre, to ta wypluwała. Mówię: „Jezus Maria, co ty, ty daj jej”. Tak że ta Iza jest do dzisiaj moją siostrą, żyje w Poznaniu. Wyszła za męża, już ma inne nazwisko, tak że to tak wyglądało. W pewnym momencie matka mówi: „Musisz mieć jakiś zawód, bo to przecież porządny zawód. A nie że tam szkoła ogólnokształcąca”. I zdałem do technikum. Poszedłem do technikum energetycznego i tam się uczyłem. Uczyłem albo nie uczyłem się, w każdym razie, można powiedzieć, jak się przypadkiem zainteresowałem teatrem, znaczy ja się jeszcze sportem interesowałem, tak jak taki młody chłopak. I dużo opuszczałem, ale matka była liberalna i pisała mi zawsze zwolnienia albo na opiekę nad dzieckiem, albo że ona chora, albo że ja chory. Tak w skrócie to wszystko wyglądało, że trafiłem tam na jakieś lekcje i hydraulik, który mówi: „O, Wardejn, nareszcie cię widzę, pierwszy raz cię widzę od 3 miesięcy na lekcji. To chodź, to powiedz, co ty tam umiesz”. A ja mówię: „Nie mogę teraz odpowiedzieć, bo nie było mnie 3 miesiące. Dopiero muszę się przygotować”. „Dobrze, to na następnej lekcji odpowiesz z całego tego materiału”. A ja mówię: „Dobrze”. I pomyślałem, że nie przyjdę. Ale zapomniałem, że mam nie przyjść. Stoję na apelu i patrzę nagle, że wychodzi..., przypomniałem sobie na apelu: „Jezus Maria, już nie mogę uciec ze szkoły, bo już jestem”. Stoimy, apel w tym technikum, wychodzi polonista i mówi: „Wszystkich chętnych do kółka dramatycznego proszę o zgłoszenie się po apelu w świetlicy”. „O Jezu...” – mówię, „...to ja tam pędzę już, bo to od razu nie pójdę na lekcje”. Poszedłem, ten się trochę tak dziwił, ten polonista mówi: „Ty, Wardejn, ty się interesujesz teatrem?”. „O jak” – mówię – „Oczywiście”. Tam grałem w takiej jakiejś tam sztuce, „Ach, panno Wando”, pamiętam, że miałem taką pierwszą moją odzywkę, co wzbudziło, jak wszedłem i powiedziałem, „Ach, panno Wando”, wzbudziło dużą radość u moich kolegów, którzy byli na widowni. Już musiałem chodzić, bo bym jeszcze z polskiego dostał lufę, jakbym mu nawalił. Tam jeszcze był taki półamatorski teatr na tej samej ulicy Inżynierskiej i w nim trochę brałem udział. Tam występowałem jako statysta, pierwsze moje słowa były, wystawiali „Krzyżaków”, ja grałem takiego knechta i „Werda!”. To pierwsze moje na takiej scenie było, jak Jurand ze Spychowa przyjeżdżał do zamku i tam... Mnie to zainteresowało. Postanowiłem, że jednak będę zdawał, bo matka powiedziała: „Dobrze”. Najpierw pierwsze jej słowa były, jak ja powiedziałem, że chcę być aktorem, to matka powiedziała: „Jezus Maria, taki wstyd w rodzinie, Boże kochany, jak ja się przed innymi wytłumaczę, przed tymi ciotkami, że ty aktorem jesteś”. Bo to z jednej strony to taka bankowa rodzina zasadnicza, czyli kupiecka, powiedzmy, a z drugiej strony szlachecka. I jednym, i drugim się to nie podobało. Warunek był, że muszę zdać na studia. Dobrze, to jak muszę zdać na studia,

to postanowiłem. „Dobrze”, powiedziałem do matki. I tam zgłosiłem się, ale jeszcze było tak, że jedyna elektrociepłownia w Polsce wtedy była w Warszawie, a ja byłem technik od elektrociepłowni. W związku z czym tam praktyki mieliśmy. Tam pojechaliśmy na praktyki, bo to już w maturalnej klasie. Ale tacy koledzy mówią: „Ty się teatrem interesujesz, dzisiaj podłączamy szkołę teatralną pod elektrociepłownię”. I mówi kolega do mnie: „To może się zamienisz”. Bo tam gdzieś na Pradze podłączałem, a on tam. Ja mówię: „Bardzo chętnie zobaczę tę szkołę teatralną”. Przeszedłem do szkoły w roboczym kostiumie trochę, ale na szczęście z dwóch tych był złożony, z górnego tego i spodni. I przyszedłem. I oni poszli na dół do piwnicy podłączać te sieci ciepłne, a ja sobie tak zacząłem chodzić. I akurat była wtedy poradnia, bo w szkole teatralnej, nie wiem, jak teraz, ale wtedy była poradnia. Taka poradnia, co radziła, czy zdawać do szkoły, czy nie, czy ktoś tam się nadaje. Taka, żeby można było, pierwsza eliminacja, żeby można było przystąpić do egzaminu. No dobrze. Idę i tam akurat czekali tacy młodzi, tacy w wieku moim. Nagle wychodzi taki, co zarządzał tym, to zawsze student z czwartego roku, taki, co to mówi: „Następny, następny”. Wyszedł i zobaczył mnie w tym kombinezonie. I od razu chciał tam zyskać poklask chyba u tych, co tam siedzieli. Mówi: „O, widzę, klasa robotnicza też się pcha do teatru. No proszę, proszę”. Ja tak patrzę, wszyscy w śmiech, a ja mówię: „Tak” – byłem wściekły z tego, że się śmieją – „Tak. Ja chcę iść”. A on mówi: „Nie”. Jak zobaczył, bo do końca mówił: „Proszę już do drzwi”. Myślał, że pękne. A ja idę dalej do tych drzwi rektoratu, tam, gdzie się zdawało. I on już mnie zatrzymał: „Nie, słuchaj, musisz najpierw zgłosić papiery, bo tu są wszyscy zgłoszeni. I tylko zamiejscowy może być dzisiaj przyjęty, a tobie wyznaczę termin”. A ja mówię: „Jestem zamiejscowy. Z Poznania przyjechałem, proszę, tu jest moje tego”. I wszedłem. I on nie mógł nic zrobić, a ta sekretarka mówi: „Wie pan co, niech pan chociaż zdejmie tę górę od tego drelichu”. I wszedłem. I oni tak patrzą na mnie, ci profesorowie. „Tu Wardejn Zdzisław” – przedstawiłem się. Czy mam jakiś wiersz – „Nie mam, bo nie wiedziałem”.- „Aha”. To tam kazali mi grać, że się boję, że Niemcy idą po schodach, a ja tu gdzieś się chowam. I tam jeszcze jakieś takie ćwiczenia bez tekstu. Ja tak to zrobiłem. Oni patrzą na mnie i mówią: „No wie pan co, jak pan myśli, czy panu radzimy, żeby pan zdawał, czy żeby pan nie zdawał?”. Ja mówię: „Mnie jest wszystko jedno, matka powiedziała, że muszę zdawać”. „Aha”, powiedzieli. Ktoś się zaśmiał i powiedział: „Dobrze”. I dopuścili mnie do egzaminu. Teraz była następna przygoda, że egzaminy są od 20 do tam 28. A ja akurat grałem już w tym teatrze tego żołnierza, tego knechta, gdzieś tam graliśmy, nie miałem czasu. Ale zrozumiałem, że jest do 20, to znaczy jak przyjadę 2 dni przed końcem, to jeszcze zdążę. No i przyjeżdżam. I się okazuje, że trzeba było tam 10 czy 11 się zwrócić. Bo selekcja następowała i zostało już tylko tam koło 20 tych kandydatów. I ja wchodzę. Byłem zakwalifikowany. Pytają, dlaczego nie przyjechałem w terminie. A ja od razu się zorientowałem, co się dzieje. I mówię: „Matka zachorowała i musiałem przy niej być”. Bo na to to jechałem wiele razy. „A co jej było?” „Podejrzenie zawału” – „Aha”. „I teraz dopiero, wyszła z tego i mogłem przyjechać”. „A zaświadczenie masz?” – pyta mnie Świdorski, a ja mówię: „Przecież mówię, że podejrzenie, a nie zawał”. Dopuścili mnie do tego i moja przewaga polegała na tym, że wszyscy byli wymęczeni na ten ostatni etap tych egzaminów. To, że byli już zmęczeni, a tu wchodzi taki sobie. I mówi, że tam ma wiersz taki, Słowackiego, pamiętam, „Trzy razy księżyc odmienił się złoty...”, – tam, co ojcu umarły dzieci, „...gdy na tym piasku rozbiłem namioty”. I oni pewnie patrzą: „Jeszcze jeden z tym Słowackim przyszedł”. I Bardini mówi do mnie: „Słuchaj, masz czkawkę i usiłujesz ukryć ją przed komisją. I teraz mów ten wiersz”. Bo mu się nudziło. A ja sobie myślę: „Cholera, jak go tak pięknie mówię”, bo jeszcze na konkursach recytatorskich wcześniej wygrywałem, takie miejskie eliminacje. I nagle wściekły. I zapomniałem tekstu w pewnym momencie, przerwałem i mówię: „Przepraszam bardzo, bo zapomniałem, co dalej, może zacznę jeszcze raz”. A Bardini mówi: „Spokojnie, spokojnie, człowieku, spokojnie, my to wytrzymamy wszystko, przypomnij sobie, nie

denerwuj się”. „Jak mam się nie denerwować, jak mam czkawkę i usiłuję ukryć ją przed komisją?” Bo on mi to zalecił, żeby ten, ja mówię taki piękny wiesz. I w końcu mnie przyjęli, bo jeszcze pamiętam, że następne było też takie, co Świdorski powiedział, że miałem taką prawdę w spojrzeniu. „No dobrze”, powiedział mi. „Ugryzła ciebie mucha i teraz ją gonisz”. „No dobra”. I gonię ją tak. I tu patrzę, i tam patrzę, i gdzie leci. Ach, na ścianie znajduję. Przy ten, trzask ręką, a Świdorski mówi: „Ach, ściana aż się zatrzęsała. Biedna mucha”. Ja na niego spojrzałem i sobie pomyślałem: „Już nie mogę oderwać wzroku”. I szedłem do niego tak z ręką, że Świdorski zasłonił się aktami. I mówi: „Miałeś taką prawdę w spojrzeniu, że mnie walniesz, że cię postanowiłem przyjąć”. I w taki sposób zdałem do szkoły teatralnej. I w ten sposób dostałem się do szkoły teatralnej, w której musiałem skrzętnie ukrywać, bo mi nie wierzyli. Jak raz opowiedziałem, to powiedzieli mi, że kłamię i że blefuję. Skrzętnie ukrywać taki jeden z incydentów w moim życiu, jak były wypadki poznańskie, to ja już byłem wolny, chodziłem do technikum energetycznego, już nie mieliśmy lekcji, wybrałem się do miasta, patrzę, tramwaje nie chodzą, to nie chodzi, nie wiem, co się dzieje tu, idę na tę główną ulicę, na Dąbrowskiego, tam gdzieś niedaleko, gdzie była ta komenda UB, patrzę, a tam, to pamiętam, przejeżdżają czołgi, ale jeszcze były te polskie. To się zatrzymały i witały tych, co potem zmienili czołgi, ale afery jakiejś się dzieją. Ja jestem tam ciekaw, patrzę, nie brałem specjalnie udziału w wypadkach poznańskich. Tylko patrzyłem, jak tam strzelali. Tam, gdzie były te zagłuszacze. Strzelali do UB z jakiejś broni. Jak tam gdzieś rozbili tam te szkolne arsenały do ćwiczeń wojskowych, co mieli broń. W ten sposób tak patrzyłem sobie na to. I noc już przyszła. I ja postanowiłem wrócić do domu. I okazuje się, że cała ta dzielnica była otoczona. Ja do dzisiaj nie wiem, kto to był ten, co mnie zatrzymał. W każdym razie nagle z takich krzaków wychodzi z karabinem żołnierz w polskim mundurze, który do mnie mówi: „Stupaj, stupaj”. Ja nie wiem, o co chodzi, i nie potwierdziłem nigdzie, że tam byli rosyjscy żołnierze, ale ten do mnie się po rosyjsku zwracał. Ale był w polskim mundurze. I zostałem aresztowany. Zostałem aresztowany. To mnie tam zatrzymali. Tam były, tam. Przyprawdzali ludzi, co kradli na przykład. I tak dalej, to widziałem. W końcu punkt zborny był tych wszystkich zatrzymanych na ławicy, na lotnisku ławica. Tam żeśmy siedzieli. Ja miałem jeden błąd. Dlatego mnie trzymali. I tak wahali się, czy mi zrobić proces, czy nie. Bo były takie kioski informacyjne, które związane były z targami, które są w Poznaniu. W tych kioskach normalnie siedzieli wtedy milicjanci i była tam mapa Poznania. A tę mapę wtedy trudno było dostać, ale tam nie było już nikogo, bo oni uciekli, ci milicjanci. I ja tę mapę zabrałem, żeby sobie popatrzeć, jak wygląda Poznań. Ale się okazuje, jak mnie zaarrestowali, że mam mapę z zaznaczonym punktem koło dworca, gdzie byłem. Więc kombinowali, czy nie jestem przypadkiem, czy to nie był punkt zborny tych rewolucjonistów. I w związku z tym, a ja miałem wtedy 16 lat. Albo 15, nie wiem, w którym to roku, już nie pamiętam. W każdym razie. W związku z czym mnie przesłuchiwali. A ja w końcu powiedziałem, że był facet, co sprzedawał po 2 złote te mapy. I od niego kupiłem. I nie byłem kandydatem do procesu, bo byłem niepełnoletni, to jak to, oni mieli tam innych starszych, a mnie po tych 3 dniach wieczorem wypuścili. Wracam do domu, mieszkaliśmy w willi na Lubeckiego w Poznaniu. I dzwonię przy furtce, nagle patrzę, a cała moja rodzina z Polski, tam z wyjątkiem dwóch ciotek, rodzina wychodzi na ganek i patrzą na mnie. I nie otwierają mi tej furtki. I pytają, czy to ja, bo to już był lekki zmrok. „Zdzisiu, to ty?” A ja mówię: „A kto?”. „Nie, naprawdę ty?” I ojciec chrzestny, taki Napoleon Siemaszko, ruszył jedyny odważny. I otworzył furtkę, zaczął ścisnąć, płakać. Ja już myślałem, że majątki rodzinie wróciły. Idę i okazuje się, że cała rodzina jest po pogrzebie, moim. Że matka, jak nie zjawiłem się w nocy, co mnie zaarrestowali, zaczęła mnie szukać po szpitalach wśród rannych, a potem wśród nierozpoznanych. I ten leżał, ten, co za mnie pochowali go, był w takich spodenkach i miał postrzał tutaj, czyli tu był obandażowany. I był w podobnych spodenkach co ja. I matka stwierdziła: „To jest mój syn”, bo nagi był. A ciotka miała wątpliwości, powiedziała: „Na-

prawdę?” . A matka powie: „Własnego syna bym nie rozpoznała?” . Po latach, jak kręciłem film o tym, „Paradoks o konduktorze” , bo to jest film o tym, taki dokument, co reżyser znalazł, znalazł, że mnie przywrócili do życia dopiero w sierpniu, to było w czerwcu, a sąd musiał oficjalnie odwołać te akty zgonu, bo ja wchodzę, wtedy patrzę, co się dzieje, wszyscy płaczą, moje powiększone zdjęcie na stole, wazon bez kwiatów. I 5 aktów zgonu na stole. I cała rodzina prawie z Polski. Było tak, że w pewnym momencie matka mówi, ja mówię: „Głodny jestem”, idę do kuchni, matka mówi: „Nie wychodź, ja chcę cię zobaczyć, musisz tu...”. I taka była maszyna, maszynka taka elektryczna, taka w rogu, że można na niej było sobie coś zagrzać, i matka mówi: „Ty rób to”. Ale tu dzwonek do drzwi i przychodzi milicja. Bo się okazuje, że o 12 był przesłuchiwany, a o 8 o takich danych został zastrzelony. I wysłali patrol, żeby się dowiedzieć, o co chodzi, na Lubeckiego. Chcieli mnie zabrać znowu, ale „Oddaliście mi syna...”, oni tam dzwonili. W końcu zostawili mnie. Zostawili mnie. Ale śmieszne było jak cała rodzina z rękoma do góry, bo ja zrobiłem spięcie, reperując tę maszynkę. I nagle światło zgasło i oni: „Stać, nie ruszać się”. I cała moja nobliwa, łącznie z przewodniczącym liceum dla pań Piłsudskich, Roszkowska i Popielewska, z rękoma do góry siedzi. To była jedyna taka przyjemna rzecz, że moja nobliwa rodzina przerażona, bo oni mówią: „Nie ruszać się, ręce do góry”. I latarkami ich oświetla. Ale to się wyjaśniło. Jakoś mnie zostawili, bo matka mówiła: „Oddaliście mi syna, już mi go nie zabierajcie”. „Dobrze”. Po latach, to jest taka dygresja, jak kręciłem ten film „Paradoks o konduktorze”, to musiałem przejść całą drogę matki z reżyserem i tak dalej i tego konduktora, bo to konduktor,

Tomasz Sikorski: Kazimierz Wieczorek.

Zdzisław Wardejn: Tak, to Wieczorek był, tak, to on zginął. To on był konduktorem tramwajowym. I dlatego to tak się nazywa. I sobie pomyślałem, że matka tak, spotkała ją wielkie nieszczęście, zginął mąż, jedyny tam człowiek, którego bardzo kochała. Teraz odszedł syn. Już nie chciała o tym myśleć. Już wolała przyjąć tę karę Boską. I powiedzieć: „To jest mój syn”. Bo ciotka miała wątpliwości. Ale matka mówi: „Własnego syna nie poznam?”. Tak że po latach ja zrozumiałem tę matkę, która już mówi: „Już mam to za sobą, nie żyje, koniec, dalej żyję”. Tak że to było. [Tomasz Sikorski] – I pogrzeb się odbył? Tak, pogrzeb, mój pierwszy garnitur, tam dostał pierwszy garnitur, pierwsza koszula popelinowa, to wszystko na niego poszło, na tego, co był pochowany. Jeszcze 2 ciotki spóźniły się na pogrzeb, smutne, bo straciła męża, straciła syna, a matka w papilotach, w czerwonym szlafroku, im otwiera: „A cieszę, Salusia. O, przyjechałyście na pogrzeb, jak się cieszę. Pomyłka, Zdzich żyje, tam śpi”. A one już są przy furce z powrotem. A matka krzyczy: „Zdzisiek, obudź się, ciotki uciekają”. Bo nie wiedziały. Tak że, tak to wyglądało. Potem, jakby to można powiedzieć, trochę się sytuacja wobec mnie zmieniła. Bo tam ja raczej byłem takim, można powiedzieć, łobuzem. Sąsiedzi przychodzili, skarżyli się, że tam kradnę im jabłka i tak dalej. I teraz się wszystko zmieniło, bo wszyscy przychodzili i mówili: „Taki szlachetny chłopak”. Trudno im było się wycofywać z tego, co mówili, jakoś tak w stosunku do mnie te sytuacje... Ja jeszcze nie powiedziałem, że jak cała rodzina wyszła na ganek, to matka mnie straszyla sądem rodzinnym, że zwoła rodzinę. Po prostu i oddadzą mnie do domu poprawczego. Jak tu cała rodzina wyszła, mówię: „Nie miała kiedy zwoływać, wtedy, kiedy mnie zamknęli”. No dobrze. Tak to się odbyło, że zyskałem, nawet byłem na mszy za swoją duszę i matka zmieniła kolor ze mszy żałobnej na dziękczynny, czyli na biały. I tam dwie kobiety: „Widzi pani, taki wspaniały chłopak. Patrz pani, komuniści nie pozwolili w tym fioletowym kolorze tej mszy, kazali w białym. Widzi pani, jacy oni są”. To słyszałem, jak tak się radziły ze sobą. Tak zostało, ja o tym nie mówiłem w szkole, bo to była aż nie do wiary historia. Nie chciałem uchodzić za takiego kłamcę. Co to będą mówić: „Ten

to opowiada nieprawdziwe historie". A dopiero reżyser, jak znalazł to, że jestem przywrócony do życia, to przyszedł do mnie i namówił mnie, żebym uczestniczył w tym filmie. I pokazywał. I wtedy poznałem drogę matki. Teraz tak, już doszliśmy do szkoły teatralnej. W szkole teatralnej nie chcę się rozwodzić na tych moich kłopotach, które ja tam miałem. W każdym razie w pewnym momencie sytuacja zaistniała taka, że Perzanowska, która była moją opiekunką, jakby ukierunkowała mnie, o co chodzi w teatrze. Że nie chodzi o to, żebyś dobrze grał. Chodzi o to, żeby ludzie na widowni, patrząc na ciebie, mówili: „Jezu, on to samo przeżył, co ja”. Czyli na pewnej identyfikacji. Tam po pewnych perypetiach, ona mi to wytłumaczyła, bo ja grałem tam takim, łazuka ze mną był, Szajewski, jeszcze kilku kolegów na roku, a ja miałem tam pewną słabość i tak wchodzę załamany, chory trochę byłem. I grałem takiego smutnego, biednego nauczyciela. I do pani Wandy przychodziłem i mówiłem, że moje życie jest słabe i tak dalej. Ale wiedziałem, że wszyscy wiedzą, że ja jestem w pewnej krytycznej sytuacji. I ja sobie myślę: „Ja się będę teraz skarżył, że biedny jestem, że nie tego...”, więc wychodzę: „Biedny jestem, nikt mnie nie kocha”. Koledzy zaczęli się śmiać. Ja patrzyłem na nich, to jeszcze mocniej, co oni się śmieją, kurde. I mówię, i tam. I w pewnym momencie nie wytrzymałem, spojrzałem i powiedziałem: „Nie, ja się tylko cieszę, jak ludzie są szczęśliwi”. Odwróciłem się, trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. Bo taki tekst miałem i to im prosto w oczy powiedziałem. I Perzanowska przyjechała do akademika. I mówi: „Dlaczego tak powiedziałeś?”. „Pani profesor, mam taką sytuację chorobową i tak dalej. A tu będę grał jeszcze biednego, że taki jestem. Proszę”. Ona mówi: „Widzisz, tymi zdaniami więcej powiedziałeś o sobie, o świecie, niż byś tysiąc razy dobrze zagrał. I na tym polega teatr”. Od tego momentu jakoś to mi zaczęło iść, bo było ważniejsze dla mnie, ta sprawa, nie sprawa dobrego grania, tylko sprawa pewnego porozumienia się z widzami. Ale już na samym początku spotkałem schody, bo grałem w „Rekonstrukcji poety” Herberta syna Homera. Jak Homer ślepie, to była moja premiera, już byłem w Dramatycznym wtedy. To był bardzo znany teatr. I on ślepił – Homer, jak mówił tę „Iliadę”. To Płotnicki grał tego Homera. A ja miałem tylko mówić: „Ojcze. Ojcze”. Że to ślepie, że tego. I mówię, że nieprawdziwie. Świdorski przychodził, że dzisiaj było nieprawdziwie i próba dla mnie. Ja mówię: „Jezus Maria. Co to za zawód wybrałem?”. Że będę schodził ze sceny i będę patrzył, czy dzisiaj było prawdziwie, czy dzisiaj nie. Można powiedzieć raczej, że tak się prostytutki zachowują, a nie aktorzy. I zobaczyłem, że nie dam rady sobie z Warszawą. I zerwałem kontrakt. I poszedłem do Zielonej Góry, żeby grać tak, jak uważam, a nie podlizywać się, powiedzmy, tym opiniom, co jest w Warszawie. Ale trochę mi się kanty stępiły, bo jak zobaczyłem, że mnie nie słuchają z tą moją prawdą, to trzeba coś zmienić. I trzeba poszukać, żeby ci ludzie się wczuwali. Jeden z takich przypadków to, nie wiem, czy żyje ten człowiek, grałem w „Ifigenii w Taurydzie” Eurypidesa. I to było taka, jeździliśmy po tych różnych miastach. I to było we Wschowie, bo to mi dużo dało. To było we Wschowie i ja grałem. Reżyseria polegała na tym, że udawaliśmy takie greckie pomniki. Mieliliśmy te ubiory i tam ręka do tyłu. Tak jak te greckie rzeźby były i się mówiło te teksty, gdzie oni byli. Ale ponieważ ja zaangażowałem się do teatru pod warunkiem, że będę jednak mógł realizować siebie, ten dyrektor mnie tam, Zielona Góra, jakoś podpisał, zgodził się na to. I miałem ten jedyny moment, co szedłem, nagle przerywałem ten pomnik, szedłem do proscenium, patrzyłem na widownię i mówiłem, do dzisiaj to pamiętam: „Człowiek jest tak dziwnym stworzeniem, tyle w nim splątanych spraw, że nikt nie może całkiem być bez winy. I nie jest naszą rolą jego sądzić, lecz pierwszy i najbliższy obowiązek to naprzód iść i swojej drogi strzec”. Się odwracałem, ustawiałem się na ten pomnik i kontynuowałem tam opowieść, gdzieśmy płynęli i tak dalej. Jak się odwróciłem i szedłem dalej, tam zerwało się trochę braw. Ktoś zaczął bić brawa, ktoś podjął, ale jak to jest, a ja stałem wściekły, mówię: „Widzisz, jak cię skompromitowali, wyszedłeś do przodu, powiedziałeś tak swoje racje, co ty uważasz, że trzeba było mówić, a tu tak cię widownia obsmiała”. I tak stałem wściekły, mówię: „Dobrze”. To bić przestały, nie,

że cała widownia szalała z brawami, to trochę ludzi, jak to bywa. I po przedstawieniu przychodzi facet o kulach, bez nogi. I mówi: „Przepraszam pana bardzo za te brawa, bo to ja je wywołałem. Ale chciałem dać tylko panu znak, że tak, że trzeba naprzód iść. I swojej drogi strzec. I dziękowałem za to panu tymi brawami. Widziałem, że pan się wściekł, więc przepraszam”. To tak mi zostało. To było to, powiedzmy, o drogi, o sensie aktorstwa, co ja uważam. Tego poszukuję, żeby się w pewnym momencie, ja tak mówiłem, jak z reżyserem rozmawiałem, to mówiłem, że to jest moja prawda. Czasami były na tym kłopoty z reżyserem, bo on chciał, żebym coś tam inaczej zrobił, ale ja uważałem, że aktor powinien być inteligentniejszy od reżysera. Tak sobie tak powoli, najpierw w Krakowie, najpierw z Zielonej Góry poszedłem do Poznania, gdzie grałem Konrada w „Wyzwoleniu”, potem poszedłem do Krakowa, gdzie grałem Hamleta. Ale jak aktor przyjeżdża i gra Hamleta już na pierwszej roli, to potem już długo nie ma takiej roli, w której by mógł tę rolę przeskoczyć. I wtedy ludzie mówią: „A to on nie jest taki dobry, jak w »Hamlecie« się pokazało”. Hamlet to powinien być na zakończenie jakiegoś pobytu czy czegoś, kariery. Potem przeszedłem do Warszawy. Tu w Warszawie zacząłem grać, też grałem w filmach. Jak jeszcze w Poznaniu grałem, to już zacząłem grać w filmach. Film to jest martwa sztuka, powiedzmy. To jest martwa kamera. I trzeba tylko sobie to wyobrazić, zagrać ciekawie, ale nie jest taka twórcza, bo można go zmienić, tak jak teraz na przykład wywiad udzielam, to można mnie przyciąć, można to inaczej ułożyć. To ja nie mam tego bezpośredniego spotkania z widownią, co uważam, jest sensem teatru, a więcej, uważam, jest przyszłością teatru. Bo ta sztuczna inteligencja, która teraz wchodzi, to w pewnym momencie nie będą aktorzy potrzebni, tylko będą ich głosy i ciała potrzebne. I oni będą tworzyć, od razu fachowcy stworzą bardzo ciekawe, może, filmy, ale jedyna rzecz, która coś daje, to jest teatr. To patrzmy na tego człowieka i ten teatr się obroni. Ja tak uważam i tak myślę. I to była jakby taka moja droga w teatrze.

Tomasz Sikorski: Ale portfolio filmowe to jest jednak ponad setka pozycji.

Zdzisław Wardejn: No tak, ale mówię, że film to jest film, to jest martwa kamera i reżyser, który coś czuje, co nie. Ale ja nie mam tej..., przecież teatr się narodził z religii. Religia się narodziła z samotności człowieka. Najpierw była religia, potem nie wystarczała ta religia, więc musieli ci ludzie widzieć, że nie są samotni, że tam ta Ifigenia przeżywa czy tam inny bohater grecki przeżywa, bogowie się na nim mszczą i tak dalej, i tak dalej. To nie jest tak prosto, to nawet tam... Oni dlatego tak przychodzili długo. Oglądali te 3 części plus, a na końcu dawali specjalny rozrywkowy kawałek, że nie będzie tak źle. Ale najpierw ludzie powiedzieli, że taki jest świat i trzeba żyć z tym światem. Tak że na tym to tak polega, a potem na końcu to są te wariacje, czwarta część tych trylogii. Ten teatr to jakby mnie najbardziej interesuje, bo uważam, że tam się w jakiś sposób spełniam. Ale nie zawsze taka rola daje szansę. Trudno, tak jakoś to wygląda. W każdym razie najważniejsze jest, żeby szukać, kiedyś powiedziałem, że wystarczy mi 7–10 osób na widowni, które powiedzą: „Jezu, to jest moje życie”. Kiedyś teatr wymagał, pomagał, ja to zresztą w Holandii wykładałem, bo byłem tam przez 10 lat profesorem, założyłem tam, to znaczy założyłem, wychowałem studentów, co oni nazywają do dzisiaj szkołą masytrychską. To potem były gwiazdy. Pierwsze 3 roczniki, bo potem to już się stałem belfrem, zobaczyłem. Bo człowiek się powoli jak uczy, na początku szuka w tych ludziach, a potem już wie. W tej Holandii pracowałem i tam zapytali mnie, jaka jest różnica między teatrem polskim a teatrem holenderskim. I ja mówię: „W teatrze holenderskim widz musi się identyfikować z aktorem, a w teatrze polskim...” – to były takie czasy, „...widz za pomocą aktora musi się identyfikować z sąsiadem”. Tam ktoś mówi: „Nie ma herbaty”. No „ha ha ha” – widownia, bo nie ma. Że ten aktor nam dawał znać, że możemy się porozumiewać. Teraz nasz teatr nie może odnaleźć tego, że głęboko zagląda w duszę ludzką. Za

to tworzy efekty, efektowne przedstawienia, zaskakujące, które niewiele mówią, tworzą atrakcje dla widza. Rzadko się zdarza spektakl, który człowiek z otwartymi ustami ogląda i nagle patrzy: „To jest tam ten bohater, moje życie. Tak, ja rozumiem, przez to przechodzę. Dokładnie tak. Nie jestem sam”. To jest najważniejsze w teatrze, żeby widz myślał, że nie jest sam, tylko jest tym aktorem. Taki jest teatr np. holenderski czy zachodni, nie wiem, jak tam gdzie indziej, ale w Holandii wiem jak. A nie teatr, który nagle daje prowokację, żeby człowiek się wstydził. Nie, prawda, tylko że nie zostawia tego widza samego. To jest problem z reżyserami. Bo ja muszę powiedzieć, jak myśmy grali „Pluskwę”, Konrad Swinarski to reżyserował. A do dzisiaj nie znam odpowiedzi. Bo on zginął. I on reżyserował „Pluskwę” u nas w Teatrze Dramatycznym, ale równocześnie reżyserował „Hamleta” w Krakowie. I tak jeździł. Ja akurat dostałem jakiś film, więc pytam go: „Słuchaj, gdzie będzie najpierw premiera? Bo jeździsz tam na tydzień czy na dwa, przyjeżdżasz tu na tydzień, znowu jedziesz tam na tydzień. Gdzie ty wcześniej? Przecież tam wcześniej zacząłeś”. Bo mi tam zależy, co jak mam odpowiedzieć. A on mówi: „Nie. Słuchaj, ja tam jadę, bo ja nie wiem”. „Czego nie wiesz?” „Nie wiem, kim będzie Horacy po śmierci Hamleta. I rozumiesz, każę im grać i szukam, czy będzie ministrem propagandy nowego reżimu, czy popełni samobójstwo. I nie wiem tego, co ja mam im powiedzieć”. Tak kiedyś było, taki teatr był. O Horacego chodziło. Tak że do dzisiaj nie wiem, kim będzie Horacy po śmierci Hamleta. W Holandii wykładałem. Zaczął się stan wojenny. I rektor tej szkoły w Maastricht, ponieważ bardzo jemu zależało na mnie, wystąpił do polskiej ambasady, czy ja przyjadę. Bo jeżeli nie przyjadę, to Holandia zaskarży Polskę o zwrot pieniędzy za wychowanie iluś pokoleń tych, bo ja jestem pewną cegłą w kształceniu tej młodzieży. To specjalne ma miejsce. I w związku z czym ileś tam, 7 roczników, muszą za 7 roczników zapłacić. Bo te, które mają być, są założone i już tam kończą. Oskarżą Polskę o to, że ponieważ ja nie przyjechałem, to trzeba zapłacić za te studia wszystkim tym profesorom, bo to jest do wyrzucenia, do kosza, jak mnie nie ma. Tu się zaczął, ten „Pagart” pyta, co z Wardejnem, czy dacie mu paszport, czy nie? Czy nie tego, a oni tam, czy już wystąpić, czy jakie jest zdanie „Pagartu”. A „Pagart” nie wiedział, co robić, mówi: „Oskarżają nas tam o jakieś duże pieniądze, o wychowanie ileś tam roczników szkolnych, jak Wardejn nie przyjedzie”. To było bardzo sprytnie z jego strony. Generał Pożoga mnie wezwał tam. I zapytał, czy chcę zostać, czy nie. I do dzisiaj nie wiem, czy... Ja powiedziałem: „Nie, ja chcę wrócić, mam tu rodzinę i chcę wrócić”. A on powiedział, że: „Nawet by nam zależało...”, ja nie wiem, czy on mnie..., „...żebyście zostali”. Ja mówię: „Jak to, dlaczego?”. „Byśmy was użyli do kompromitacji środowiska”. To pamiętam. Ale nie wiem, czy się asekurował, czy naprawdę mi proponował. To tak było w stanie wojennym. Tak dlatego trochę tam miesiące byłem w stanie wojennym. Wyjeżdżałem za „Pagartem”, bo ja trymestry prowadziłem, potem przyjechałem, grałem w teatrze, potem znowu i w pewnym momencie było, że rodzina może przyjechać, i Małgosia z dwójkiem dzieci przyjechała do mnie tam, co mi szkoła załatwiła jej w takim półkurorcie mieszkanie, a już moi ci studenci zaczęli być gwiazdami. Tak że było z anegdota takich, jak jeden, starszy nasz syn, poszli do sklepu na tej wsi, gdzie im załatwili, to jako anegdota jest, że poszła kupić coś do jedzenia i nagle nasze dziecko biegnie, trzymając ileś kostek masła i mówi: „Mamo, masło jest, masło jest!”. I wrzucił do kosza. A my mówimy: „Uspokój się, tu jest masło”. Potem zaczęły mnie dzieci pytać: „Tato, jaki to jest socjalizm, jaki to jest ustrój u nas i jaki to jest w Holandii?”. Ja mówię: „Wiesz...”. A, nie chce mi się na ten temat mówić, bo już tam pamiętam, że ich kształciłem. Wykładowcy wiedzą, że w pewnym momencie tworzy się rutyna. Na początku człowiek ma tych ludzi świeżych, na przykład te pierwsze 3 roczniki, oni do dzisiaj mówią, że to wspaniała „szkoła maastrichcka”, nawet ten rektor chce mnie zaangażować, a ja mówię: „Nie no. Nie opłaca się”. A on mówi: „A kiedyś ci się opłacało?”. Ja mówię: „Nie trzeba było kapitalizmu w Polsce wprowadzać”. Bo tak to ja wychodzę z rynku. Tu w ogóle na 3 miesiące, czyli może więcej, 4, prawda? Wtedy to mogłem, bo to było trochę tak, że mogli to zakładać, nie było tylu propozycji i tak dalej jak teraz. Tak na tym to polegało. I pamię-

tam, że te pierwsze 3 roczniki to ja im kazałem grać rzeczy, których sam nie byłem pewien. Ale twardo mówiłem, że tak można. „Jezu, tak można”. Potem jak poszli już do filmu gdzieś i w teatrze zaczęli tak grać i nagle się wyróżniali od innych. I to były pierwsze, pamiętam, 3 roczniki, które tak wychowałem. A potem to ja już wiedziałem, co mam mówić, bo wiedziałem, co się sprawdza, a co nie. To, co się nie sprawdza, to już nie proponowałem. Czyli wiedziałem, co mają robić, i już się stałem belfrem po prostu. Ale też długo musiałem walczyć ze sobą, żeby to rzucić, bo to jednak były pieniądze. Ale w pewnym momencie ciągle mówiłem, że jednak już kończę, ale kończę. Ale już jak rady artystyczne zaczęły mnie cenić, powiedzmy, bo tam jakiś chłopak grał i u mnie grał świetnie. Ale szkoła ze względu na subordynację i tak dalej postanowiła, że go usunie ze szkoły. I ja mówię: „Jak to, przecież, kurde, jest świetny, najlepszy na tym”. Oni mówią: „Nie, nie”. Ja mówię: „Wy to tak, tacy”, wymyślałem im, „Wyrzuciliście Van Gogha ze szkoły, kurde, teraz znowu talent wyrzucacie”. „Ale u ciebie każdy gra świetnie”, mówili. Czyli już mieli taki do mnie stosunek. Tak że to już zobaczyłem też. I to mi dopomogło, że sobie poszedłem. A on zawsze wyprowadzi aktora, żeby był zdolny, ale jest niesubordynowany i gdzie indziej jest niedobry i tak dalej. W teatrze to co pewien czas aktor z wiekiem ma pewien szczyt. I u mnie takim pierwszym szczytem to był „Ryszard II”, co wygrałem festiwal we Wrocławiu. To był pierwszy, to był młody taki, mało znana sztuka Szekspira, ale o młodym królu, bardzo młodym, który został zdeponizowany. Ja tam zagrałem swoje dzięki temu, że miałem ulgę w tym, że odszedłem z Dramatycznego, to mi reżyser pozwalał, na przykład detronizację to nie grałem na tronie, tylko siadałem na podłodze i masz tu, mówię. Oddawałem temu, co mnie wyrzucał, co mnie miał zastąpić, Bolingbroke’owi. Ja mówię tak, bo on tak mówił: „Na podłogę”. „Nie!” Albo: „Schyl się tak nisko, jak ja upadłem”. Takie różne rzeczy zbuntowane. Co prawda koledzy wszyscy mówili, że jestem niekrólewski. Aha. Ale ja grałem swoje. I to był taki jakby pierwszy moment, taki pierwszy moment, co... Granica pewna, co doszedłem. Potem to był Konrad w „Wyzwoleniu”, też aktor ma taki, w Poznaniu grałem też na festiwalu, ale ten, Konrada w „Wyzwoleniu”, co rozmowa z widownią. Potem „Hamlet” i potem to już w Warszawie różnego rodzaju role. Niektóre. Tak że to jest pewna taka granica wieku i to się gra, podkreśla coś i czeka się na następne role, jeżeli będą ciekawe. Takie, które są ważne. Bo oprócz tego jest pełno innych, takich drobiazgów, co się gra. Ale takie role, co jakby podkreślają pewien okres w życiu człowieka. Na tym to polega w teatrze. Przesłanie moje jest takie, to jest taka myśl, którą gdzieś przeczytałem, żeby pamiętać o tym, że gdy znalazłem się na samym dnie, to od spodu usłyszałem pukanie. To, żeby ludzie sobie mieli w tym, bo tak trzeba myśleć.